

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{4}$ strona — 80 zł.

$\frac{1}{2}$ " — 40 "

$\frac{1}{4}$ " — 20 "

$\frac{1}{8}$ " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Odwet.

Równowaga i harmonja są podstawą istnienia wszechświata. Zachwiane, sprawiły by deszcz planet na planety, miazgę gwiazdozbiorów, pył dróg mlecznych i opętanie lecących w bezdroża nieskończoności słońc.

Zachwiane: sprawiają wojny, pomory, rewolucje i rzezie, w świecie fizycznym trzęsienia ziemi, erupcje wulkanów, cyklony i orkany.

Jakiś po nad tem zjawiskiem unosi się jednak instynkt samozachowawczy i rozwoju. Jakaś moc w najgłębszej głębi spraw ludzkich i nadludzkich, lub po nad temi sprawami będąca, jakieś wahadło wagi przechyla szalę w tę lub ową stronę, tak, by nigdy nie nastąpiła zupełna zagłada. By zawsze kosztem śmierci, rodziło się życie, kosztem zniszczenia budowały się nowe światy; by słabość, upadek, poniżenie, stawały się ko'ejno siłą, wywyższeniem i zwycięstwem. By wiecznie trwał ruch twórczy i nieustanna przemiana pierwiastków duchowych i materji.

Momenty zmian, tego ustosunkowania się jednych wartości do drugich, tej czasami dość nagłej, dojrzewającej powoli wędrówki warstw dolnych w górne, morza w lądy, gór zstępujących w doliny i lawin w wąwozy, momenty takie są dla przyrody i ludzi chwilami ciężkich i bolesnych prób wytrzymałości.

Jest to selekcja gatunków, ślepa zresztą i bezmyślna. Coś ginie i coś powstaje. Lepszego? Nie. Innego. Nowego? I to nie. Bowiem wszystko *inne*, co się staje w świecie przyrody, czy ustrojów społeczeństw, wszystko ma w sobie pierwiastki tego, co już było... może zarodki przyszłego rozkładu, jak zły jad w organizmie nowonarodzonego z chorych przodków. I dla tego zwykle wszyscy *pokonani* patrzą z ironicznym uśmiechem na wszystkich *zwycięzców*. Przyglądają się ich triumfom, widząc w nich zadatek

upadku. Na każdej uczcie triumfatorów jest sporo szyderców w cieniu kulis, sporo oczu podstępnych wypatrujących odwiecznych znaków: Mane—Tekel—Phares.

W triumfie i zwycięstwie jest niebezpieczeństwo pychy i upojenia, równie groźne dla psychiki zbiorowej czy pojedynczego człowieka, jak niebezpieczeństwo upodlenia i upokorzenia dla zwyciężonych.

Ze zwycięstwem należy się obchodzić ostrożnie, jak z cudownym radem, pierwiastkiem jednocześnie leczącym ludzi i sprawiającym śmierć i kalectwa.

Władzą widomą należy też operować ostrożnie, bowiem czystą siłą jest tylko siła ducha. Siła władzy zwycięskiej jest zatruta miazmatami upadlającemi. Jest to odwet za triumf, okup składany harmonji świata, by pewne pierwiastki nad inne nie wybujały.

Odwetem ludów prześladowanych przez zwycięstwo, jest siła moralna męczenników za idee, siła przewyższająca częstokroć moc władzy zwycięzców. Nikt lepiej o tem wiedzieć nie może od narodów, które przeszły przez twardą szkołę niewoli i przechodzą stokroć może trudniejszą próbę: niepodległości odzyskanej niespodzianie.

Jest legenda, że wskrzeszony przez Chrystusa Łazarz, nigdy nie stał się jak inni, żywym człowiekiem, bowiem szedł za nim cień grobu, w którym przebywał. W nojnach i przewrotach niejednokrotnie nowe państwa i wyzwolone lub konsolidujące się narody, brały stare wzory zniszczonych społeczeństw, naśladowały dopiero co niszczonego zawzięcie nieprzyjaciół, niedawnych panów i prześladowców.

Zasypywały się próchnem grobów.

Są to cechy wyzwolenców, nie wolnych ludzi. Wolny, prawdziwie wolny człowiek, musi być twórczym i takim musi być naród, przejęty czią dla wolności. Musi tę twórczość, rozwój i swobodę szanować w innych, tak, jak boleśnie tęsknił za lat niewoli, by w nim je szanowali ciemiecy.

Inaczej spotka każdy naród straszliwy odwet, wiecznie ten sam. Zostanie zatruty własną złością i błędami, podminowany w swej mocy rozkładowymi pierwiastkami, które się wydzielają z pokładów pychy i zarozumiałości.

I nie należy lekceważyć tej niepozornej często, a tak potężnej w istocie siły duchowej. Pogardzani dziś dla swej słabości męczennicy idei jutro wyrastają na mocarzy.

Wszak historia świata nas uczy, jak z biednej, opuszczonej stajenki Betlejemskiej wyszło ubogie Dziecię, któremu dane było, pó przez morze krwi i prześladowań, zwyciężyć stokroć świat.

Czy nie leży w tem wielka dla państw i narodów nauka?

Słyszeliśmy, iż rząd polski nosi się z zamiarem udzielenia szeregu doniosłych koncesyj miejscowym żywiołom nie polskim. Między innymi projektuje założenie w przyszłym roku seminarjum nauczycielskiego białoruskiego... w Bydgoszczy. Podobno p. Thugutt jest odmiennego zdania i obstaje... za Krakowem, gdzie, jak wiadomo, ma powstać również uniwersytet ukraiński.

Niesłuszne więc są zarzuty pod adresem polityki polskiej, że naśladuje wzory pruskie i rosyjskie. Żadnemu z najbardziej pomysłowych burokratów w Berlinie i Petersburgu nie przyszło nigdy na myśl ulokowania zakładów naukowych polskich w Akwizgranie lub Czelabińsku. Pomysły tego rodzaju są niezaprzeczenie oryginalnym wytworem młodej, a więc jeszcze nie wyjałowionej z pierwiastków twórczych burokracji polskiej.

„Ateny Słowiańskie“.

Tak nazwał Pragę Czeską obecny prezydent Czechosłowacji Masaryk. Jako polityk realny, niewątpliwie ujął on swe powiedzenie nie w sensie twierdzenia, bo Praga *Atenami Słowiańskimi* prze-

cież jeszcze nie jest. Był więc to raczej jego dezyderat. Powiedzmy sobie, dezyderat wspaniały, mądry, wielki, świadczący jak najlepiej o ambicjach profesora Masaryka, wyniesionego do najwyższej w republice Czechosłowackiej godności, ale czy możliwy do osiągnięcia?

Prawda, że w murach *Złatej Praby* przebywają dziś setki i tysiące przedstawicieli *wszystkich* narodów Słowiańszczyzny (z wyjątkiem Polaków), że pracują tu rozległe organizacje szkolne, obejmujące cały kurs nauk od ludowej do uniwersytetu, a stworzone, przy hojnej pomocy rządu czeskiego, zabiegliwością Rosjan, Ukraińców, Białorusinów... Rząd czeski troszcząc się o pokarm umysłowy dla rzeszy emigrantów, dobrowolnych i przymusowych, nie zapomniał też i o zaspokojeniu ich potrzeb materialnych. Dbałość o to posunęła np. w stosunku do Białorusinów, studujących w Pradze, tak daleko, że otrzymują oni *gratis* wszystko niezbędne do życia, cały przyodziewek, począwszy od butów aż do kapelusza włącznie!

Jednak to wszystko nie zmienia zasadniczego stanu rzeczy, dzięki któremu Praga Czeska, o ile oczywiście przewidywać może umysł ludzki, *Atenami Słowiańskimi* nie zostanie. Rzecz jasna, że przyczyną tą nie jest ani pozycja Pragi, leżącej wyraźnie na zachodnim skraju bloku państw słowiańskich i w oddali od krzyżujących się między nimi dróg (jeśli tylko pozycja geograficzna rozstrzygała tu przedewszystkiem, jakież gród słowiański mógłby pod tym względem rywalizować ze Lwowem?!), ani powody natury zewnętrznej, lecz tylko i jedynie ogromna różnica, jaka dzieli Czecha od Rosjanina, Ukraińca, Białorusina, Serba, Bułgara... Polega ona, mimo niewątpliwiej wspólnoty słowiańskiej, na odrębności ich umysłowości i uczuciowości, słowem psychiki.

Bardzo, lecz jednostronnie tylko uzdolniony Czech odznacza się płytkością swych potrzeb duchowych, co stanowi poprostu straszliwy kontrast ze znanem *bogoiskatielstwem*, altruistycznym *czelowiekolubstwem* i swoistym głodem prawdy, który zna-

Ostatni z Jagiellonów?

Przeglądając niedawno znany warszawski tygodnik „Bluszcz”, natrafiłem na artykuł wstępny pióra p. Grossek-Koryckiej, gdzie autorka ostatniego w mniemaniu ogólnem Jagiellona na tronie polskim nazwała „Włoch-Litwinem”. Zdanie to niebawem skonfrontowałem z najlepszym bodaj u nas znawcą dziejów Zygmunta Augusta L. Kolankowskim, który zupełnie pewny macierzyństwa Bony, wyraża niejaką, acz nieudowodnioną wątpliwość co do ojcostwa Zygmunta *Starego*. Tak się wszystko składało, że plotka historyczna nie tylko mogła się wylegnać koło kolebki królewicza, lecz też niewątpliwie znalazła tu dla siebie dosyć żeru. Rzadko jakiejś postaci w historii polskiej tak czepiały się różnorakie plotki, jak królowej Bony. Potwierdzeniem tego jest zajmujący szczegół, podany przez znanego, drugiego po ks. Fijałku, badacza przeszłości Kościoła w Polsce, ks. dr. Chotkowskiego w art. „Trzy dary Królowej Bony” (Gazeta Kościelna Lwów 1924 № 20).

Nie ulega żadnej wątpliwości, że Zygmunt August był synem tej Włoszki, miał co najmniej 50% krwi włoskiej i po matce nazwany być może w połowie

Włochem, jak go słusznie nazwała p. Grossek-Korycka. Medaljony dłuta Padovano, przedstawiające Bonę i 13-letniego Zygmunta Augusta, wykazują podobieństwo uderzające. *Mater certa...* Ale czy był napewno Litwinem, jako po ojcu prawnuk Jagiełły? W w. XVI chyba niebrakowało złośliwym językom pozorów, by tworzyć różne gadki na temat *patris incerti...* Jak podówczas patrzono na Bonę, świadczy odkryty przez niedawno zmarłego profesora Creutzenach'a w muzeum Farneryjskiem w Neapolu druk ulotny pt. *Faceciae historicae*, a w nim paszkwil dotyczący królowej Bony:

*Nostra Regina Bona
attulit nobis tria dona:
faciem pictam,
dotem fictam
v... non strictam.*

Pomijając dwa pierwsze „dary”, dr. Chotkowski dłużej się zatrzymuje nad trzecim i pisze: „najgorsza była potwarz, że przybyła do Polski jako „deflorata”. Miało się to stać w czasie jej podróży lądowej z Rieki (Fiume) przez Węgry, Semering i Wiedeń. Potwarz była oczywista, bo „prześliczna i mądra Bona”, jak ją współcześni nazywali — poślubiona, imieniem króla polskiego, przez kasztelana kaliskiego

mionuje duszę np. Rosjanina (znawcy Rosji mówią, że ateizm bolszewicki jest jakoby negatywem tej cechy rosyjskiej).

Naród czeski jest dziś najmniej religijnym w całej Europie, a powstałe obecnie w nim sekty jawnie są chore na niemoc ideową. Miejsce religii oddawna zajął w jego duszy dość pierwotny co do swych pierwiastków składowych patriotyzm, nie pozbawiony też akcentów imperjalistycznych. Obok tego patriotyzmu, w miarę utraty zainteresowania się zagadnieniami metafizycznymi, rozparł się w duszy Czecha skrajny materializm. Bierzemy ten termin filozoficznie, więc twierdzimy, iż czeski materializm *doskonale* się godzi z niezwykle wysoką kulturą muzyczną i żywym ruchem wśród bohemy praskiej. Ow czeski materializm przechodzi nieraz nawet w obskurny merkantylizm. Toteż nie od wczoraj w świecie słowiańskim Czesi uchodzą za *Żydów lub Niemców Słowiańszczyzny*. I nie mówi się, nie pisze się tak dla szykany — wcale nie! To się czyni dlatego, że tak jest w istocie. Głębsze umysły wśród Czechów same nie zaprzeczają chyba tego nadmiaru materializmu w ideologii czeskiej. Prostem następstwem tego jest wprost przygniatająca przewaga w ideologii czeskiej pierwiastków intelektualnych i woluntarystycznych nad uczuciowymi. Ta przewaga zdaje się przechodzić nieraz w ludziach przeciętnych w kompletny zanik altruizmu. Nie to jest złem u Czechów, że coś lub dużo się czyni dla względów politycznych (ostatecznie). Któż bo żądać może dla siebie miłości bezinteresowniej?! Słowianina wschodniego zawsze zaboli co innego: mianowicie, że nie znajduje on śladu szczerego uczucia w sercu pobratymca.

Niedawno o nasze uszy oblała się skarga młodego Ukraińca, co w Pradze odbywał wyższe studia. W dobitnych słowach dawał on wyraz swej wręcz ujemnej ocenie narodowego charakteru czeskiego. Podziwiając wysoką kulturę techniczną i agronomiczną, znający spory kawał świata rozmówca nasz wyznał, że nie tylko nie podoba się mu charakter

czeski, lecz budzi w nim wielką, nieprzepartą antypatię. Za nic nie chciałby osiąść na stałe wśród tego narodu. Jako główną tego przyczynę wskazywał on na skrajny egoizm, na rażący, zdaniem jego brak serca. Oczywiście, serce brać tu trzeba nie w znaczeniu zwulgaryzowanym, pospolitem, lecz jako termin, określający całokształt wszystkich przejawów życia uczuciowego i uszlachetniających jego wpływów na intelekt ludzki i wolę. Nie były to wrażenia człowieka powierzchownego, lecz sąd dobrze i całkowicie przemyślany.

Z drugiej strony wiemy, że i Białorusini, mimo dobrodziejstw doznanych od Czechów, sądu obiektywnego o nich się nie wyzbyli. Wśród nich są już, którzyby chętnie się przenieśli z Pragi gdzieindziej, brak środków stoi tylko temu na przeszkodzie. Jeśli kulturalnie mniej zaawansowani Ukraińcy i Białorusini odczuwają, że zewnętrzny szych kulturalny pięknej stolicy nadweltańskiej tylko słabo przykrywa płytkość duszy czeskiej, nie mogącej dorównać ani ognistemu temperamentowi Ukraińca, ani smętnej duszy Białorusina, to ów kontrast niechybnie jeszcze bardziej rażącym się wydać musi Rosjaninowi, z jego szeroką, wylewną naturą. Wtedy gdy Czech, to praktyk materialistycznego pokroju, Rosjanin pryncypjalista i to bezwzględnie, czy jest wyznawcą monarchizmu, czy też komunizmu. Szczere porozumienie się Polaków z Czechami, urodzonych impresjonistów z pozytywistami również zakrawa wyraźnie na jakąś utopję.

Mniej mamy danych o stosunku Chorwatów i Słoweńców do Czechów, zato Serbowie i Bułgarzy też nie zdają się być stworzonymi na sojuszników ideowych Czechów. — Wszyscy zaś oni razem podkpiwają nawet z *pepiczków*. Dodajmy do tego, że aspiracje czeskie do przewodzenia światu słowiańskiemu dziwnie wyglądają na tle skarg i protestów, które się rozlegają wciąż z gnębionej systematycznie Słowaczyny.

Dla szeregu wymienionych wyżej powodów dezyderat *Aten Słowiańskich* winien być przez nas brany za swoistą emanację czeskiego mesjanizmu, któ-

Stanisława Ostroroga, w Neapolu (6 grudnia 1517), jechała do Polski trzy miesiące w bardzo licznej gronie posłów: cesarskich, papieskich, węgierskich, włoskich, książąt mazowieckich i niezliczonego mnóstwa polskich panów; byłaby więc chyba pozbawiona rozumu, gdyby miała nawiązać jaki stosunek miłosny pośród tylu świadków”.

Obraz majestatu królewskiego, zawarta w wyrażeniu „*v... non stricta*”, odnosić się nie mogła „do wypadku na polowaniu w Niepołomicach, gdzie Bona spadła z konia i wskutek tego poroniła, bo to stało się daleko później i nie było jej winą, ani dla niej hańbą, lecz winien był sam król Zygmunt Stary, który niedźwiedzia trzymanego w pudle, kazał wypuścić”.

Charakterystycznym dla oceny stosunku społeczeństwa do zarzutu powyższego, jest wyrok *uniewinniający*, który dość niespodzianie, bo rzecz zapowiadała się groźnie, spadł w r. 1533 na ks. Janę Garbarczyka z Krakowa, za powtarzanie znanej już nam facycji o Bonie, co było według litery prawa zbrodnią obrazu *Reginalis Majestatis*.

„Dary” powyższe królowej Bony były w Polsce tak szeroko znane, że zwykle przytaczano tylko pierwszy z nich (*faciem pictam*), poczem dodawano *etc.* — jako że każdy dobrze wiedział o czem mowa,

Dopiero później, już w wiekach następnych, zapomniano powoli o reszcie. Z powszechności tej plotki widać, jak łatwo snuły się uwłaczające Bonie domysły co do jej prywatnego życia.

Rzecz nierównie trudniejszą jest pisać dziś o ojcostwie Zygmunta Starego, który dźwigając szósty już krzyżyk na barkach, nie miał syna, czem narażał Polskę nie tylko na dynastyczne kłopoty, lecz i na niebezpieczeństwo wobec wstrząśnień, które towarzyszyć zwykły były w tym kraju wygórowanych swobód szlacheckich zmianom osoby króla. Jeśli te wysokie względy zajmowały umysły dygnitarzy świeckich i duchownych, to i naród szlachecki, którego każdy członek pretensję miał do spórządów w Polsce, na swój sposób mocno się interesował sprawą dziedzictwa tronu polskiego. Dla tak różnych powyższych motywów, zasięgano zwyczajem ówczesnym rady astrologów, tak w ojczyźnie Bony, jak też w ojczystym kraju jej królewskiego małżonka. Z jakim wynikiem, o tem pisze L. Kolankowski: „Astrologowie „*urbi et orbi*”, od Włoch po Litwę głoszą, że (Zygmunt Stary) go (syna) nigdy mieć nie będzie”. („Zygmunt August Wielki Książę Litwy do r. 1548” Lwów 1913 p. 6). Arcypewny ton tej odpowiedzi, danej przez takich mistrzów w sztuce dworactwa

ry znany był już zresztą przed wojną, a który z rozproszenia narodu czeskiego po świecie (Ameryka, Rosja...) wyprowadzał wnioski, że czeka go jakaś wielka rola w ludzkości. O wiele jednak słuszniej może Praga pretendować do roli Kartaginy nowoczesnej, niż Aten Słowiańskich.

Sonderling.

Prof. Kazimierz Buga.

(Wspomnienie pośmiertne).

Jeden z najwybitniejszych znawców języka litewskiego, niezmordowany zbieracz materiału do słownika litewskiego, pomyślanego na olbrzymią skalę, zeszedł z tego świata w grudniu 1924 r. przeżywszy lat 45.

Pochodził z pogranicza Żmudzi, urodził się 25 października (str. stylu) 1879 r. we wsi Pożegiejach, w pow. Jezioroskim. Po ukończeniu szkółki gminnej w Dusiatkach — ojciec zawiózł go do Petersburga w celu dalszego kształcenia, z myślą, że syn zostanie księdzem, a zatem podporą niebardzo zamożnej rodziny. Po ukończeniu egzaminów z 4 klas (przy gimn. św. Katarzyny) przyszły filolog wstąpił do seminarjum duchownego (w 1897 r.) w Petersburgu, skąd po roku wystąpił. Od tej pory rozpoczyna kilkoletnią prawdziwą Odyseję swego życia, w którym głód i chłód częstym bywał gościem; jednak pomimo tych ciężkich warunków młody Buga namiętnie pożerał książki naukowe, a szczególnie wchodzące w zakres lingwistyki. Postać młodego pożeracza książek nie uszła uwagi znanych dziś uczonych księży profesorów Dombrauskasa i Buczysa, którzy zaopiekowali się i nadali właściwy kierunek dalszej jego nauce. Wkrótce został Buga sekretarzem ks. Jawnisa, głośnego swego czasu litwanologa.

Po otrzymaniu matury w 1905 r. zapisuje się na uniwersytet Petersburski, na wydział filologiczny,

jednocześnie pracując już naukowo w dziedzinie umiłowanej. Wskutek poparcia, zdaje się prof. Baudouin de Courtenay'a Buga został wysłany zagranicę na dalsze studia językoznawcze — lecz wojna światowa wróciła go z drogi. Uzyskawszy dyplom magistra dostaje nominację do uniwersytetu w Permi, jako docent, później jako profesor nadzwyczajny w 1920 r. wraca do Litwy.

Umyślnie nieco dłużej zatrzymałem się nad młodemi latami prof. Bugi, by łatwiej było czytelnikowi ocenić nieprzepatą i żelazną wolę, która postawiła go w szeregu ludzi uczonych.

Do badań językoznawczych czuł pociąg od lat uczniowskich, już w 1902 r. posiadał bogaty własny zbiór pieśni przysłów ludowych (litewskich) jednocześnie myśląc o słowniku litewskim. Dzięki bliższemu życiu się z ks. Jawnisem wziął się do pracy poważnie i systematycznie, choć trzeba zaznaczyć, że wybitny litwanolog ks. Jawnis był w dziedzinie przez siebie tak umiłowanej genialnym samoukiem, co bezspornie odbiło się na początkowych pracach prof. Bugi.

Większa część prac przezeń ogłoszonych odnosi się do badań nad litewszczyzną. Są to przeważnie studia z zakresu historii języka litewskiego, tudzież rozbiory krytyczne i drobne przyczynki naukowe. Z pośród tych prac na szczególną uwagę zasługują: „Kann man Kaltenspuren auf baltischen Gebiet nachweisen?“ (drukowane w *Roczniku slawistycznym*. Tom VI), „Sławianobaltijskaja etimologija“ („Russkij filologiczeskij Wiestnik“. Tomy LXX, LXXI i następ.) opracowanie w języku rosyjskim obszernej gramatyki litewskiej ks. K. Jawnisa i wreszcie, najważniejszy dokument i wysiłek jego pracy — to słownik języka litewskiego, którego się ukazał pierwszy zeszyt Tomu I (1924 r. w Kownie). Układ słownika prof. Bugi powinien przejść przez ogień fachowej krytyki, która orzeknie, czy metoda przyjęta przez prof. Bugę jest wskazana. Pomijając milczeniem obszerny wstęp, który mocno uwypukla pojęcia zjawisk językowych prof. Bugi, zaznaczyć należy, że objaśnienia są w je-

i pochlebstwa, jak astrologowie, jest niezmiernie charakterystyczny.

Już ci i owi z dynastów sąsiednich gotują się w razie zbliżającej się śmierci Zygmunta Starego zgłosić swe pretensje do tronu polskiego, gdy 1-go sierpnia 1920 r. na Wawelu rodzi się „długo oczekiwany Zygmuntowic“ (p. 7). Powiadomiony rozstawnymi końmi o tym fakcie Zygmunt Stary, daje zaraz wyraz swej radości w szeregu listów do papieża Leona X i kardynałów, jak też do Karola V, Ludwika i panów węgierskich, w których dzieląc się wieścią, nazywa syna „*non vulgare columen et ornamentum rei publicae christianae*“ i „*familiae nostrae regnoque ac dominiis nostris incrementum*“ (ib). Podobno po całej Europie rozbrzmiewało wówczas: Jagiellońowie mają potomka mają dziedzica swych koron! Inna rzecz, czy do tych uczuć nie domieszała się szczypta zdziwienia i nawet powątpiewania. Może kiedyś powiedzą o tem archiwa włoskie i inne. Dziecię otrzymało po ojcu imię Zygmunta, do którego Bona, wierna tradycjom odrodzenia, dodała Augusta. Wysoki prałat kościelny Krzycki drwił wtedy z astrologów „co sił i dowcipu mu starczyło“. Atoli wątpimy, czy astrologowie odwołali swe orzeczenia i przyznali się do błędu...

Od zarania życia królewskiego dziecka, Bona

usiłuje ująć w swe ręce kierunek wychowania Zygmunta Augusta, którego, według słów Kolankowskiego, chce zrobić na modłę odrodzeniowego „il principe“. Nie da się zaprzeczyć i w dalszym życiu królewicza (potem króla), tak duży wpływ nań królowej matki, że oddziaływanie Zygmunta Starego istotnie uznać trzeba za całkiem nikłe. O wiele młodsza Bona tak opanowała swego męża, że bez jej woli nic się nie dzieje.

Pomocnikiem jej w bardzo wielu sprawach, tak państwowych, jak osobiście dotyczących królowej, był Wawrzyniec Miedzylewski¹⁾, prepozyt i kanonik wileński, nazywany podówczas biskupem kamienieckim. O tym znacznym prałacie jest parę znamiennych zdań Kolankowskiego, który pisze (podkreślenie nasze): „Nie da się ściśle określić, jakie stosunki łączyły królowę z tym prałatem“ i nieco niżej: „Dziwne jednak, jak to *wiele* chwil jego życia, które pozostawiały po sobie donioślejsze ślady, spłotło się z najważniejszymi momentami wysień królowej, dla dobra syna przedsięwziętych“. Dostojnik ten, jak czytamy u ks. J. Kurczewskiego (Kościół Zamkowy. Cz. III. p. 538), ukazuje się w r. 1503, jako notariusz

¹⁾ Kolankowski, wbrew ks. Kurczewskiemu, pisze go „Miedzylewski“, a w aktach spotykamy jeszcze jedną odmianę „Miedzyleski“.

zykach polskim, rosyjskim i niemieckim, do słownika weszły nazwy geograficzne (wsi, gmin, miasteczek itd.) i nazwiska rodowe...

Prace, które wyszły z warsztatu naukowego prof. Bugi, są niezaprzeczonej wartości i tem bardziej cenne, że dotyczą języka litewskiego, który do ostatnich czasów był prawie nietknięty przez poważną naukę. Prof. Buga nie uważał swych prac za skończone i wyczerpujące przedmiot, a ogłaszał je z myślą, że w przyszłości złożą się na podwalinę do badań nad językiem litewskim.

Niestety, śmierć tak wcześnie przecięła życie człowieka poświęcającego się mozolnym trudom naukowym i zniweczyła jego zamiary wydawnicze. Osieroconą katedrę języka litewskiego w Uniwersytecie Kowieńskim i gotowy i rozpoczęty przez niego druk słownika powinien otrzymać godny następca, by dzieło wielkie nie poszło na marne.

Szacunkiem ogólnym i szczerym otaczano go za życia, jako człowieka, który wiedzę swą rozległą zdobył w tak trudnych warunkach życia, jako umysł nieprzeciętny, który umiał ocenić swe błędy w filologii, które sam otwarcie odrzucał lub poprawiał — przez co do skarbcza nauki wniósł prawdziwe brylanty wiedzy. Przez śmierć prof. Bugi poniosła dotkliwą stratę nie tylko nauka litewska, lecz i europejska.

Wł. Sakowicz.

J. Sprogis, jako rusyfikator Łotwy.

Archiwarz Jan Sprogis aż nadto dobrze znany jest Wilnu, jako niestrudzony za życia rzecznik interesów rosyjskich na ziemiach litewskich i białoruskich. Natomiast rzeczą mało znaną jest, że tenże Sprogis, pracując w Wilnie, zabiegał stąd o radykalną rusyfikację Łotwy, co m. in. odsłania nam źród-

publiczny w akcie ugody biskupa Tabora z kapitułą wileńską. W roku 1511 płaci karę w wysokości 2 kop gr. za opuszczenie domu. Potem w r. 1517 widzimy go przy aktykowaniu przywilejów kość. Michalskiego. W rok później 1518 potwierdzając przywileje kość. wolkowskiego już się pisze biskupem elektem kamienieckim, kanonikiem wileńskim, protonotarjuszem apostolskim, sekretarzem J. Ks. M. W r. 1524, na akcie powiększenia funduszu kolegiaty Witoldowskiej w Trokach przez Zygmunta Starego figuruje jako biskup kamieniecki. Schodzi z widowni wskutek śmierci w roku 1529, zostawiając po sobie pamięć człowieka miłosiernego.

Rolę polityczną b-pa Miedzylewskiego nieco szerzej omawia Kolankowski, u którego czytamy o zaufanym człowieku Bony: „Uzyskawszy, jako kanonik wileński i sekretarz królewski, infułę biskupią, zawdzięczał on ją poparciu prymasa (Łaskiego), z którym łączył go więc odtąd węzeł wdzięczności, a przyjaźni z jego synowcami. Wobec Tomickiego (podkanclerza) i jego siostrzeńca, Krzyckiego, (biskupa plockiego) zajmował stanowisko, jakie mu wskazywało zobowiązanie dla Łaskiego, a ci odpłacali mu się tą samą monetą. Człowiek zdolny, obrotny, *nie bardzo liczący się z honorem fioletów biskupich*, używany był Miedzylewski często do misyj w zawitych

łowa praca Ryszarda Mienickiego: „Archiwum akt dawnych w Wilnie w okresie od 1795 do 1922 roku”. (Warszawa, 1923). By zrozumieć, jak się zrodziła w nim ta ideologia, z konieczności musimy sięgnąć do jego życiorysu.

„Iwan Sprogis: Łotysz z pochodzenia, Rosjanin z wychowania, z luteranina prawosławny, niedoszły świaszczennik i niedokończony student petersburskiej akademji duchownej, renegat i wstecznik, łączący usilne wysługiwanie się rosyjskiej zachłanności z nienawiścią klasową, jaką zionęła jego chłopska dusza ku szlacheckiej polskiej kulturze na obszarach dawnego W. Ks. Litewskiego, systematyczny, pracowity, cierpliwy, pedantyczny, drobiazgowy i małostkowy, zespałał te przymioty z prawdziwie łotewską cechą — z brakiem polotu; niedostatek głębszej inteligencji, żywości umysłu, ogólnie tego, co zwiemy zdolnościami intelektualnymi wynagradzał pracowitością, przez którą, wraz z dużym przywiązaniem do archiwum, położył dlań niezaprzeczone, widoczne i duże zasługi...

Urodzony w Inflantach Szwedzkich, w okolicach Kokenhauzen, jako syn łotewskiego chłopa, w r. 1834. Cała jego rodzina z ojcem na czele w r. 1844 gremialnie przyjęła prawosławie, dzięki czemu Sprogis trafił do prawosławnych szkół duchownych na koszt rządu, dążącego podówczas nadzwyczaj gorliwie do wychowania pokolenia popów z pośród prawosławnych Łotyszów i Estończyków (op. cit. p. 113). „Wysłany do petersburskiej akademji został stamtąd wydalony za niewłaściwe zachowanie się; usilne zabiegi o dostanie posady parocha, choćby gdzieś na zapadłej prowincji, by mieć najskromniejszy kawałek chleba; wobec wydalenia z akademji, nie odniosły skutku; skompromitowany i rzucony na pastwę nędzy seminarzysta szczęśliwym jakimś trafem dostał się do petersburskiej biblioteki publicznej, stąd do biblioteki wileńskiej, z niej trafił na miejsce nadetatowego nauczyciela przy wil. okręgu nauk., stąd przeszedł do archiwum, pełniąc przez czas pewien zarazem funkcje p. ob. pomocnika bibliotekarza w pu-

sprawach wewnętrznych. W r. 1522 odegrał ważną rolę na Litwie przy wyniesieniu Zygmunta Augusta; niedługo potem prowadzi wraz z kasztelanem lwowskim Krupskim, układy z wojewodą mołdawskim, Stefanem. W r. 1526 znajdzie się przy śmierci ostatniego z mazowieckich Piastów, a następnie przedsięwzięcie z ramienia króla pierwsze kroki w osierconem księstwie. W rok później bawi znowu na Litwie, wysłany przez króla i prymasa celem wizytacji litewskich i żmudzkich diecezji; o wynikach jego misyjnej działalności nie wiele wiemy; więcej zostało śladów z udziału jego w walce stronnictwa Gasztolda z Radziwiłłami, Ostrogskim i Sapiehami“.

Słusznie Kolankowski podkreśla w swej pracy, że bodaj wszystkie wymienione tu misje podjęte były przez b-pa Miedzylewskiego *pro bono Filii Regii*.

Czy był Zygmunt August synem Zygmunta Starego, czy też wydała go na świat Bona z miłosnego stosunku ze swym powiernikiem i zaufanym, pozostanie chyba zagadką nierozwiązaną i nadal. Sprawa ojcostwa Zygmunta Starego z natury rzeczy należała do najintymniejszych tajemnic dworu królewskiego. Więc równie dobrze ostatni Jagiellon mógł być „Włoch-Litwinem”, że użyjemy tu terminu p. Grossek-Koryckiej, jak też „Włoch-Polakiem“.

Jadźwing.

blicznej bibliotece, za co mu płacono 300 rs. rocznie. W archiwum nasamprzód (1865—1879 r.) był pomocnikiem archiwariusza, potem—archiwariuszem aż do ustąpienia władz rosyjskich z Wilna przed Niemcami, łącząc z tem obowiązki tłumacza (od 1891 r.), przy wileńskim zarządzie dóbr państwowych. Rozpoczął swą karierę Sprogis z dość małym zasobem wiedzy: języka polskiego prawie wcale, a łaciny zgoła nie posiadał, jakie to trudności jednakże pokonał swą upartą pilnością i systematyczną wytrwałością. Co prawda, miał na to dość czasu — w ciągu lat pięćdziesięciu...

Tak zajęty pracą bezpośrednią, Sprogis znalazł czas, by z Wilna troszczyć się o rusyfikację Łotyszów. „Nad narzucaniem moskiewszczyzny własnym rodakom, Łotyszom (również) zawzięcie pracował, opracowując grażdanką pisane łotewskie kalendarze, układając specjalne rosyjskie wypisy dla swych współpracowników i łamiąc głowę nad udoskonaleniem sposobów skutecznego ich zrusyfikowania“. Celem zamianifestowania swej świeżej rosyjskości, prawosławia i lojalności, chwycił się Łotysz i luter przedzierzgnięty niedawno w rosyjskiego i prawosławnego człowieka nieraz środków ohydnych, a wszystko—dla urzędniczej kariery i służbowych nagród, łask i względów władz wyższych. Zasadniczo cechuje tego człowieka zachowanie się jego wobec własnych rodaków—Łotyszów, ku których wynarodowieniu i utopieniu w moskiewszczyźnie dążył z całej siły, mimo że to leżało już poza najdalszym obreębem jego służbowych obowiązków. Wyżej wymienialiśmy jakieś wypisy i kalendarze łotewsko-rosyjskie, grażdanką drukowane, któremi zasypywano szkoły ludowe w Inflantach Polskich. Ponadto Sprogis napierał się wydawania tysięcy książek do nabożeństwa, Pisma św. i inn. relig. wydawnictw łotewskich też grażdanką, a był tak natarczywy, niezgrabny i uprzykrzony w swej fanatycznej akcji, że utracił nawet poparcie kuratora. Czynił to wszystko jako wierny wykonawca „myśli“ Murawjewa, myśli o „wprowadzeniu, oraz utwierdzeniu w pismnictwie litewsko-żmudzkiem i litewkiem rosyjskiego alfabetu“. W konsekwencji miało to torować drogę dalszemu szczypteniu skutecznego zrusyfikowania. Powyższa działalność oprócz wielkiego zadowolenia dawała Sprogisowi nowe źródło dochodu...

W pracy archiwalnej pomagał Sprogisowi, jako pomocnik archiwariusza (1884—1896) Antoni Adamson, też Łotysz z Inflant, absolwent wydziału historyczno-filologicznego w uniwersytecie petersburskim. Skrzętną pracę w archiwum po kilkunastu latach zmienił Adamson na posadę pomocnika buchaltera w banku.

W r. 1914, na samym początku, Sprogis otrzymał, w nagrodę 50-lecia swej służby, tysiąc rubli i rangę rzeczywistego radcy stanu, co dawało tytuł excelencji (prewoschoditelstwo) i dziedziczne szlachectwo plebejuszowi.

„To był szczyt kariery biednego chłopca z pod Kokenhauzen.

„Po kilkunastu miesiącach orkan wojenny gnał go z foliarami wyszarpiętymi z organicznej całości archiwum, w niepewną dal nowych stosunków, wśród których zakończył życie, według wszelkiego prawdopodobieństwa w świadomości i poczuciu nędzy i nicości tych metod politycznego fałszu i pseudonaukowych wysiłków, tych narzędzi ucisku, gwałtów i eksterminacji..., tych sposobów brutalnego szczyptenia prawosławnej rosyjskości, jakie go zachwycały

w działaczach w „zachodnio-rosyjskim kraju“, w wysiłkach komisji archeograficznej, we własnych planach, w sukcesach „największego rosyjskiego męża stanu“ Murawjewa!

„Z oddali patrzył na ruinę tego, czemu myśli, serce, trud, życie swe oddał“

W liczbie innych bólów, los zaoszczędził też Sprogisowi możności oglądania wolnej a niepodległej Łotwy, którą ten syn jej nieprawy napróżno usiłował zruszczyć i sprawosławić i tak pograć w morzu rosyjskiem.

Wat.

D. 7 i 8. b. m. odbył się w Wilnie witany uroczystie przez biskupa Michalkiewicza i delegata p. Raczkiewicza zjazd ziemian kresowych pod przewodnictwem szambelana b. dworu J. C. M. Imperatora Wszechrosji p. Aleksandra Meysztołwca.

Zebiani obszarnicy wymyślali rządowi polskiemu, że ich ciśnie podatkami i nie wprowadza stanu obłężenia, domagali się rozmaitych ulg finansowych, piorunowali na wszelkiego rodzaju wyrotowców, ogłosili biskupa wileńskiego za hereetyka (za aprobatą biskupa Michalkiewicza?), poczem oświadczywszy uroczystie „że są rdzeniem tej ziemi“ — rozjechali się do domów.

Pewne urozmaicenie monotonnych utyskiwań i wyrzekań filarów polskości w naszym kraju stanowiło wystąpienie senatora Krzyżanowskiego, który tym razem zareprezentował się jako kategoryczny wyznawca niewzruszalności zasady własności.

Dostojne zgromadzenie łaskawie przyjęło do wiadomości nieoczekiwane wyznanie p. senatora, uważając wszelako, że jest ono zbyt krańcowem, ponieważ wogóle nie powinno być żadnych zasad niewzruszalnych...

Oportunizm ten potępił surowo „Dziennik Wileński“, upatrując w dopuszczeniu na zjazd „wilka w baraniej skórze“ smutny jego objaw i domagając się na przyszłość, aby takich wyzwoleńców jak p. Krzyżanowski nie przyjmowano w bogobojnych domach.

Jeżeli wezwanie „Dziennika Wil.“ odniesie skutek, będzie to, zdaje się, jedyny konkretny wynik dwudniowych obrad ziemiańskich.

Pan Habdank czyli ostatnie kolduny szlacheckie na Litwie.

*Nessun maggior dolore che
ricordarsi del tempo felice...*

Jeżeli wygnany ze swego gniazda rodzinnego pod Słuckiem poeta p. Podhorski-Okołow pretenduje do koleżeństwa z Mickiewiczem jedynie w zakresie wspólnych umiłowań i wspólnych tęsknot, to p. Adam Habdank, emigrant z Kowieńszczyzny, mający również inklinację do poezji, idzie znacznie dalej, sięgając najwyraźniej po laury twórcy „Pana Tadeusza“.

Odrzuciwszy tedy wstęp liryczny, jako nieodpowiadający zmienionej sytuacji politycznej, przystępuje wprost do opowieści epickiej: *)

Nad rzeką Świętą jest między górami,
Piękna dolina porosła drzewami,
Na niej wśród ładnych gaików brzoźowych,

*) Adam Habdank. „Dwór na Litwie“. Ze wspomnień przed dwudziestu laty. Wilno. 1924. Nakładem autora. Druk J. Zawadzkiego. Str. 32.

Potężnych dębów i drzew osinowych,
Tuż przy strumyku i uroczym stawie,
Ponad gościńcem, na miękkiej murawie,
Jest dwór szlachecki Świrnami nazwany,
Hojnie darami natury przybrany.

Po opisanu dokładnem owych darów natury,
wśród których „gaje z lunami“ zajmują poczesne
miejsce, p. Habdank:

Tak nucąc dalej piosenkę natchnioną,
Idzie nad lubą łoneczką zieloną,
Pokrytą kwieciami łąką przy Skierdymi,
I nuże zioły oddychać wonnymi...

Odetchnąwszy „atmosferą ziejącą kwiatami“ po-
eta przechodzi wreszcie do szczegółowego i dokład-
nego opisu trybu życia we dworze, uwzględniając
kolejno wszystkie pory roku. Więc najpierw lato.
Oczywiście zajeżdża do dworu gość, niewątpliwie p.
Habdank we własnej osobie. Na jego przyjęcie:

Już stół nakryty, suto obsławiony,
W różne zakąski, sery, balerony.
Jest tu wszystkiego, począwszy od szynki,
Masła, jaj, kielbas, litewskiej wędlinki.
Pełno owoców, jabłka okazałe,
Wielkie aporty i pepinki małe,
Jako wosk żółte smaczne antonówki,
I przezroczyste, białe papierówki.
Jest tu kalwila, renetka, maślanka,
I słynna nasza gruszka sapieżanka.
Dalej koszyki stoją ze śliwkami,
Fioletowemi strojne węgierkami,
I mirabele i smaczne renklody,
Wiśnie, porzeczki, maliny, jagody.
A na uboczu we fiolkach mrożony,
Kwasek litewski, z chleba sporządzony,
Trunek nielada, bo korki wybija,
Orzeźwia humor, z apetytem pije *).
Jest to specyfik gospodyni domu,
Recepty jego nie zdradzi nikomu.
Ma on czternaście trelesów wysoko,
Najlepsze piwo przed nim jest na boku.

Gość wszystko to spożywa, zapija mrożonym
kwasem i bez obawy o skutki takiego podwieczorku
przechodzi do salonu, gdzie się rozlega „Boże coś
Polskę“, następnie zasiada w gabinecie „przy prefe-
ransiku“ i, nieuważnie oczywiście grając, rozprawia
o polityce, o „różnych polskich sprawach, o car-
skich dekretach, wyrokach, obławach“. Po preferan-
siku musiała nastąpić kolacja, ale tej p. Habdank
nie opisuje, unikając widocznie powtarzania się wo-
bec perspektywy szeregu przyjęć i uczt w ciągu je-
sieni, zimy i wiosny.

W końcu lata wypadają dożynki, ale ze wzglę-
du na demokratyczny charakter tej uroczystości, zja-
dane na nich przysmaki nie odznaczały się wytwor-
nością. Autor wyszczególnia je z wyraźną obojęt-
nością, całkiem zresztą niesłusznie, bo te stopy ser-
ników ze śmietaną, naleśników z powidłami, oład-
ków kartoflanych ze skwarkami, pierożków na maś-
le i t. p., które częstowano żniwiarzy w Świrnach,
musiały przejść do legend i podań miejscowej lud-
ności...

Z daleko większem przejęciem poeta opisuje
ucztę wigilijną:

*) *Sic!*

Więc był tu szczupak, w stawach swych łapany,
Pod marynatą i faszerowany,
Były okonie i płotka smażone,
Leszcze, sielawa świeża i wędzona,
Bieluchne liny sałatką ubrane,
Długie minogi umarynowane.
Wędzony węgorz, niby tłusta szynka,
W kwaśnym rosółku gotowana stynka,
I słodka nasza biedna wymęczona,
Była z cebulką, octem przyprawiona,
Pełne półmiski pierożków grzybowych,
Ciepłych w oliwie, z pieprzem, smacznych, zdrowych.
Widniały wazy pełne z śliżkami
Z podsytą z maku, z miodu, z kompotami,
Był tu różowy kisiel kartoflany,
I szary wiejski, pikantny owsiany,
I groch z pszenicą stały też na stole,
By w swoim czasie rodziły na polu.

Nawet po tak obfitym posiłku p. Habdanka nie
opuszcza natchnienie. Przeciwnie dosięga ono kul-
minacyjnego punktu, gdy z kolei rzeczy nadchodzą
zapusty, co jest zresztą zupełnie naturalnem, po-
nieważ:

Szlachta wąsata i podtatusiała,
Nad roczne Święta zapusty wolala,
Gdy mości panie bawiąc się wincikiem,
Jadła kołduny skrapiając krupnikiem.
Krupnik litewski tylko dwory miały,
Nasze gosposie warzyć go umiały.
Wchodził tam spirytus i wódka stołowa,
Imbir, cynamon, galka muszkatowa,
Pomarańczowe skórki ususzone,
Czarne goździki lekko utłuczone,
Cukier i trochę miodu lipcowego,
To starowiło sekret trunku tego.
Smaczny ten nektar błogie miał działanie,
Bo gdy go trochę spróbowały panie,
Wnet się w inakszych całkiem przekształcały,
Z nudnych, milczących wesolemi stały.
Dziwne, że nawet kobiety swarliwe,
Po tym krupniku były pobłażliwe
I płeć wąsata różniej być się miała,
Weselej w stronę kobiet spoglądała,
Z większym zapalem zgrywała wincika,
I pochopniejszą była do walczyka.
Tak chwalać szlachta. miłe im zapusty.
Zjadała pączki, kołduny i chrusty.
Oj! te kołduny nasze z Kowieńszczyzny,
Niema na świecie do nich podobizny!
Smacznie robiły je nasze kobiety,
Na stronę nawet Sztrasburskie pasztety.
Najlepszy kawał mięsa wybierano,
Z wołowym łojem drobno usiekano,
(Z maszynki mięso tu n'e uchodziło,
Zbyt bowiem klejkie i zmiążdżone było)
Dodawszy trochę pieprzu, drobnej soli,
Z ilości mięsa o czterdziestej doli,
Listków majranu utartych na dłoni,
Tak wymieszane mięso na wsze strony,
W uwalkowane ciasto uwijano,
Brzegi cieniuchną szklanką okrajano,
I tak już w kształcie dziewiczego uszka,
Szedły *) kołduny grać się do garnuszka,
Smaczne, soczyste stamtąd wychodziły,
I wnet do stołu podawane były.
W kronikach dworu było notowano,
Iż tych kołdunów po kopie zjadano.

*) *Sic!*

Kołduny jednakże, zakropione krupnikiem wyczerpały energję twórczą poety. Ekstaza mija i w porównaniu z drobiazgowo odtworzonym obrazem przyrządzenia kołdunów litewskich, jakże blade wygląda następujący po nim bezpośredni opis święconego! Mazurków mamy wyliczonych tylko sześć gatunków, tortów siedem, babek zaledwie pięć! Apetyt gościom i gospodarzom też jakoś nie dopisuje w tej mierze, co na zapusty! I po Wielkiejnocy autor już nie znajduje zasługujących na uwiecznienie momentów, pomija np. milczeniem okres nowalij, kurczą, raków, natchnienie wyraźnie się wyczerpuje, poemat się urywa i kończy niespodzianym zwrotem:

Dzisiaj inaczej na Litwie się dzieje,
Dwór *zrójnowano* *), wróg nad nim się śmieje,
Ci, którym dwory oświatę wszczepili,
Chamską zapłatą nam się odwdzięczyli.

Zakończenie jest nie zupełnie logiczne, zważywszy, iż opiewane przez p. Habdanka szczupaki, kołduny, mazurki, wincik, preferansik, a tembardziej kwas i krupnik mało mają wspólnego z działalnością oświatową, ale trzeba wybaczyć poecie zrozumiałe rozgoryczenie. Adam Mickiewicz mógł pogodnie zakończyć „Ostatni zajazd na Litwie“, bo sam nie kosztował bigosu soplicowskiego, wówczas, gdy p. Adam Habdank osobiście zjadał ostatnie może kołduny, przyrządzone tak smacznie we dworze polskim na Litwie...

*Ach to może ostatni! patrzcie, patrzcie młodzi,
Może ostatni, któremu kopa kołdunów nie szkodzi.*

Licz.

*) Sic!

Kilka uwag o ostatniej pracy M. Brensztejna.

Natychmiast po wyjściu z druku cennej monografii bibliotekarza U. S. B. p. M. Brensztejna, poświęconej dziejom ludwisarstwa na ziemiach W. Ks. Lit., „Przegląd Wileński” zamieścił o niej pochlebną recenzję, do której pragniemy dorzucić kilka uwag poniższych.

Ponieważ nowsi historycy zgon Gedymina kładą na r. 1341, a nie na 1339 (p. 7), więc data ukazania się pierwszej broni palnej w Litwie przypada o dwa lata później.

Zamiast „XX. Karmelitów świętojerskich (p. 18), monasterjologicznie lepszą i ściślejszą byłaby tu nazwa *O. O. Karmelitów Trzewiczkowych* u św. Jerzego, dla odróżnienia ich od innych klasztorów karmelitańskich w Wilnie (cztery siedziby)... Nazwanie niżej tegoż św. Jerzego kościoła „podominańskim (p. 61), uważany za błąd mimowolny.

Sono nie koniecznie ma znaczyć: „grzmoty wydają (str. 37)“... Może być po prostu: „dźwięczę”.

Cenny przyczynek do dziejów rodu Delamar-sów, tak zespolonego z ludwisarstwem krajowem, przyniósł niedawno „Przegląd Katolicki (№ 42 z r. b.) pod zagłówkiem kronikarskim „Diecezja Lubelska”. Znajdujemy tam notatkę pióra A. (dolf) J. (ełowickiego) bp. (biskupa) o odnalezieniu w podziemiach katedry lubelskiej trumny ze szczątkami biskupa sufragana chełmskiego, Michała de la Mars, o którym p. Brensztejn pisze na str. 67 i n.

Pełna nazwa firmy królewieckiej, za której po-

średnictwem magistrat wileński sprowadzał w w. XVIII dzwony do nowego zegara ratuszowego, jest „Friedrich & Adolph Saturgus, Konsyljarze JKMci”, którzy prowadzili też handel... winem, jak o tem mówią rachunki Brygidek Grodzieńskich (z własnych notat).

Za niedopatrzenie tylko uważamy nazwanie ewang.-reform. zboru w Słucku „ewang.-augsb.” (p. 119). Słuck był przecież jedną z twierdz kalwinizmu na Białorusi.

Notujemy znamieny szczegół: nie tylko Litwa Kowieńska ma w posiadaniu niektóre dzwony pochodzące z Litwy Wileńskiej, ale i Polska w r. 1923 wcale się nie wzbraniała z rąk bolszewików przyjąć dzwony *z kościoła w Skajzgirach na Żmudzi* (odłany w r. 1718 przez Filipa Jakuba Günthera, ważył 560 funtów i ewakuowany został w r. 1915 w głąb Rosji pp. 127—128). Może i inne dzwony litewskie trafiły do Polski...

„Possavii” (p. 136) najpewniej oznacza „Passau”, na granicy Bawarii i Austrii.

W rozdziale „Ewakuacja dzwonów w r. 1915” p. Brensztejn nie wymienił nazwiska inżyniera miejskiego p. Adolpha, biorącego czynny udział przy zdejmowaniu dzwonów. Nieznany mu też jest szczegół, że przed ewakuacją rosyjską udało się ocalić wszystkie dzwony w kośc. Św. Mikołaja.

Błędy korektorskie pomijamy.

Gardiner.

Od Wydawnictwa.

W roku przyszłym „Przegląd Wileński” będzie wychodził tak samo dwa razy miesięcznie i w tej samej objętości. Na rozszerzenie naszego pisma, niestety, nie możemy sobie jeszcze pozwolić.

Warunki prenumeraty pozostają wobec tego bez zmiany, jedynie cenę numeru pojedynczego w sprzedaży detalicznej zniżeni jesteśmy nieco podwyższyć. Od N. Roku cena pojedynczego numeru będzie wynosiła 25 gr.

Sz. Prenumeratorów prosimy o wczesne nadsyłanie przedpłaty w celu uregulowania nakładu.

Do numeru niniejszego dołączamy „Dodatek”, zawierający artykuły znanej autorki, posługującej się pseudonimem „Futurus” oraz ks. prałata W. Czeczotta. Artykuły te, jako wyrażające indywidualne poglądy ich autorów i wykraczające poza obręb zadań programowych pisma, zamieszczamy w osobnym dodatku, mającym w danym wypadku charakter „Wolnej Trybuny”.

Treść numeru: Odwet.—*Sonderling*. „Ateny Słowiańskie”.—*Wł. Sakowicz*. Prof. K. Buga.—*Wat. J.* Spragis jako rusefikator Łotwy.—*Licz.* Pan Habdank czyli ostatnie kołduny szlacheckie na Litwie.—*Gardiner*. Kilka uwag o ostatniej pracy M. Brensztejna. Odcinek. *Jadźwing*. Ostatni z Jagiellonów.

Dodatek do „Przeglądu Wileńskiego“

(Do N-ru 22-go z dn. 21/XII 1924 r.).

Polska a mniejszości narodowe.

(Kilka uwag ze strony).

Zadanie trudne zadowolenia nie tylko swego narodu, ale i ludów połączonych z nią od wieków — stanęło przed Polską w chwili, kiedy pracować zaczęła nad swym państwem odbudowaniem.

Jakie są ewolucje i wyniki w tem dotąd nieosiągniętem zadaniu?

Przedewszystkiem pamiętać należy, że na skrajach dawnej Rzeczypospolitej narody te, w przewrotach wojny światowej, same wybiły się na wolność, wypędziły najeźdźców i założyły niepodległe ośrodki państwowe. Wielkie odłamy tych ludności pozostały w granicach Polski odbudowanej, ale będąc składowymi częściami państwa, żądają zaspokojenia tych potrzeb indywidualnych, do których wszystkie narodowości obudzone lub budzące się do życia, w 20-m wieku czują prawo.

Różnice między „mniejszościami” są ogromne. Czy je Polska uwzględniła?

Polska przedewszystkiem nie rozróżnia swoich mniejszości narodowych ani w Sejmie ani w państwie; skupia je w jednej opozycji; nie bada podłoża dziejowych, na których te ludy w krajach swych wyrosły, stosuje do nich szablonowy sposób postępowania, różniący się tylko w stopniu wywarcia państwowej siły, siła zaś miarkowana jest tylko daną odpornością. W skutek tej bezwzględności, połączonej z brakiem sprawiedliwego programu, wywołuje prawie wszędzie niezadowolenie, i ten błędny sposób rządzenia jest jednym z głównych powodów niepewnego jej położenia na wschodzie.

Skąd dziś wyjść może dobry sposób rządzenia wschodnimi krajami Polski? Próby dotychczasowe wyraziście wskazują — że nie z krańcowych teoryj planujących ustrój świata niewykonalny, nie z nacjonalistycznych programów, niesprawiedliwych w krajach o ludności mieszanej, wreszcie nie z kombinacyj polityków chwili, stosujących się do zmiennych nastrojów polityki europejskiej. Dobry sposób rządzenia temi krajami może wyjść tylko z poruszonych głębin *polskiego sumienia narodowego*, z mądrości doświadczałnej, jaką daje historia i ze szczerego dążenia Polski do postępu.

— Przedewszystkiem — rozróżnienie.

— Są mniejszości, które wiekami z Polską budowały Polskę wiernie i rozpierały jej granice od morza do morza.

— Są mniejszości, które ją zdradzały, a za bujny chleb swoich nieprzejrzanych łanów, umiały brać zapłatę z krwi i lez.

— Są mniejszości, które z zasady były i są — łagodnie powiedzmy — obce, bo ich cele są poza Polską i łączności z nią nie chcą.

Te mniejszości w Sejmie stoją razem.

Co je stłoczyło w ten nienaturalny związek, sojusz żywiołów różnych i sprzecznych z sobą, objętych jednym okuciem konieczności politycznej, bo się muszą trzymać razem? — Okuł je *brak poznania* ze strony rządzących, i *nacjonalistyczny nastrój* rządu i narodu polskiego, wiodący jak każdy egoizm do nierozumienia potrzeb innych — ludzi czy narodów.

— Polacy dzisiejsi, tak jak Niemcy i Rosjanie, względem narodowości słabszych liczą na siłę, a miast użyć tej siły na tępienie bandytyzmu i wszelkiej dezorganizacji, używają siły przedewszystkiem na walkę duchową z indywidualnościami narodowymi.

— Polacy dzisiejsi — stosując *wszeczpolność* jak Niemcy *wszeczniemieckość* do narodów we wspólnym państwie żyjących, zabijają wszelką ku sobie sympatję tych właśnie ludów, które z rasy, dziejów, położenia i celów, gotowe były i są jeszcze, do wspólnych dążeń z Polską.

Smutne zejście ze spaniałej dziejowej drogi! — Zapoznanie braterstwa narodowego, które lepiej dziś pojmują Amerykanie, nawet Anglicy. — Obłędne stosowanie metod 15-go wieku do wieku 20-go, jakby ludy te spały jeszcze dziecinny snem średniowiecznym, gdy całym pędem obudzonej młodości dąży do rozwoju!

Rozpatrzmy, choćby tylko w ogólnym rzucie oka i pod kątem zasadniczych *moralnych praw narodowościowych*, sposób postępowania władz polskich względem sześciu swoich mniejszości: Litwinów i Białorusinów, Rusinów środkowo-południowych i Ukraińców, Niemców i Żydów. — Ostatnią grupę, ogólnie znaną, zostawiając na stronie, spojrzmy na system jaki praktykują Polacy względem najpożyteczniejszych dla siebie mniejszości — względem Litwinów w Wileńszczyźnie i Białorusinów. — Polska zamyka szkoły litewskie i białoruskie daleko liczniej — niżli je otwiera; odwiecznym mieszkańcom krajów wschodnich (Kresów), jeśli tylko są miłośnikami swego kraju i narodowości — nie daje stanowisk i obywatelstwa, aby nie dać im równych praw i chleba; cisnąc administracyjnie ten ogół, a szczególnie wybitniejsze w nim grupy i jednostki w celu wyniszczenia ich siły odpornej — dąży do wyniszczenia jaźni narodowej, której są one wyobrazicielami.

Walka błędnego systemu politycznego z prawami ducha i natury!

Zaiste, co może szkodzić Polsce szkoła litewska lub białoruska, gdzie dziecko lub młodzieniec uczy się w swojej ojczystej mowie, drogiej sercu i wyśpiewanej, gdzie dowiaduje się kim jest, a z kolei losów swego narodu poznaje wyraźniej cele swego narodowego zadania? Wszak ta cała *samowiedza* prowadzi go tylko do łączności z całą Europą Zachodnią, aryjską, nawet łacińską, widzi, że ta łączność dokonała się przez Polskę, i że tylko w oparciu się o Polskę naród jego może się utrzymać i oprzeć despotycznej i pochłaniającej władzy Wschodu, jak również Polsce jest niezbędnym oparciem. — Tego tylko uczy *prawdziwa* historia Litwy i Białorusi. — Tak przemawia do Litwina i Białorusina — przeszłość.

Ale co mówi obecność? Polska prześladowając systematycznie indywidualność tych ludów, zmusza je do zejścia z drogi dziejowej, do nienaturalnego łączenia się z żywiołami obcymi lub wrogami Polski, w nadziei uratowania własnego zbiorowego życia.

Tu wynurzają się z bieżących dziejów dwa czyny, dwa fakty, obok których grupują się żale i krzywdy tych narodów. Faktów tych nic jeszcze nie zrównoważyło, ani naprawiło: jednostronny zabór Wilna i odstąpienie Mińska.

Polska przemocą zagarnęła Wilno, zamiast w tej historycznej stolicy zrównoważyć prawa swoje z pra-

wami historycznego współdziedzica. Dla pozbycia się niewygodnej kwestji białoruskiej — Polska — niepomna Rejtana — wyrzekła się Mińska i *dobrowolnie* oddała go Rosji. — Te dwa śmiertelne grzechy względem obu bratnich ludów, mogą być zmazane tylko przez zaniechanie obecnych eksterminacyjnych programów i metod w Wileńszczyźnie i Białorusi, i przez szczerzy powrót polityki polskiej na drogę dziejowego przeznaczenia. Idea podstawowa tego *wielkiego* przeznaczenia, *to uznanie niezniszczalnych praw bratnich narodów do życia i rozwoju*, owszem podanie im pomocnej ręki, i wielka polityka razem!

Nauki wiekowej przeszłości, doświadczenia obecne łączą się, aby tę wytyczną drogę wskazać. Lecz jednocześnie wskazują one: że — Polska nieumiejąc dostatecznie rządzić sama sobą (a wrogami ze wschodu i zachodu otoczona) nie potrafi rządzić swemi ludami wschodnimi, *bez wyrobionej własnej wewnętrznej siły tych ludów*. Niegdyś, odrębne przymioty właściwe ich rasie, położeniu i zadaniu, odbijały się w rycerstwie, t. j. szlachcie tych krajów *); dziś, powołane są też do życia politycznego masy niewykształcone — lecz drzemią w nich te same narodowe cechy, hart i zdolności litewskie, zdrowy rozsądek i wytrwałość Białorusina. Przymioty te na granicy wschodniej są nieocenione. Walcząc z narodowością, Polska przymioty te wytraca i paczy, i sama niszczy swój wał obronny na wschodzie. Tylko udzielaniem wyższej kultury swojej, ale z poszanowaniem psyche i jaśni narodowych, więc indywidualnych cech, języka, tradycji i prawa rozwoju, — Polska może pozyskać dla siebie te masy obudzone do politycznego życia, wesprzeć się na nich i obronić wspólny byt zagrożony.

Wtedy sprawa wileńska, mimo swych niezwykłych trudności, weszłaby na drogę właściwego rozwiązania, wtedy Białorusini dziś bezdomni, wytworzyliby swoje ognisko. Wtedy np. białoruscy studenci, obecnie (w liczbie 130) studujący w Pradze czeskiej, niepotrzebowaliby tulać się po wszechnicach obcych, mając polskie wszechnice dzisiaj we własnym państwie zamknięte lub prawa rzeczywistych studentów odmówione; wtedy Litwini u siebie przestaliby wywierać zemstę na mniejszości polskiej, jak to czynią obecnie.

Na zmianę tego — po obu stronach — nietylko „skandalicznego”, lecz wprost zgubnego stany rzeczy, nic więcej nie trzeba jak rozumu politycznego i sprawiedliwości w pojęciach i ręku rządzących, tej sprawiedliwości, której świat spragniony i która jest najlepszą polityką.

Czy możebne są do zrozumienia dzisiejszym Polakom pojęcia, podobne do powyższych? Niestety, nie trzeba się łudzić. — Tego rodzaju poglądy są i w Polsce dzisiaj *vox clamantis in deserto*. Bielmo nacjonalizmu zasłania oczy wszystkim, z nader małymi wyjątkami. Jestto dziś choroba ogólna narodów wielkich i małych. Lekarstwem na nią, jak na każdy obłąd, tylko czas i srogi doświadczenie.

Wymyślone przez obecny gabinet dla pociechy „mniejszości”, szkoły mieszane, ostawione w dodatku setnami trudnościami prawnymi i administracyjnymi, które czynią istnienie ich niewykonalnym, w niczem nie poprawiają położenia, są tylko tak zwanym zamydleniem oczu swoim masom i zagranicy.

Względem drugiej grupy mniejszości narodowych — Rusinów środkowo-południowych (Polesie,

Podlasie, Wołyń) i Ukraińców, w programie władz polskich widnieją dwa niebezpieczne szlaki, na które weszły poprzednie gabinety i obecny. — W jednym kierunku zaznacza się silnie protegowanie prawosławia w tych masach ludowych, (jak również wśród Białorusinów i Poleszuków historycznie z Białorusią związanych) — przy kompletnem pominięciu Unji, która była przecież własną moralną i cywilizacyjną zdobyczą tych ludów. W drugim kierunku, przy teoretycznym otwarciu szkół mieszanych, zupełny brak planu pedagogicznego w przedmiocie podręczników i nauczycieli.

Jakby nigdy nie istniał Mikołaj I i Siemaszko, jakby lud rusiński cały niepamiętał, że pradziadowie i prababki jego byli unitami i przemocą od Unji zostali oderwani, rząd polski zabrał się do budowania prawosławia w krajach wschodnich. — Poustanawiano nowe katedry archijerejskie, przywrócono i odbudowano bardzo liczne parafie, ustanowiono metropolję prawosławną w Warszawie; skutki prześladowczego panowania Rosji zachowano jako zdobycz cywilizacyjną. I zdumionemu oku dzisiejszego obserwatora przedstawia się ten sam dawny błąd w nieco zmienionej formie, o którym pisał biskup Likowski w końcowym obrazie w swem dziele o Unji: „A tak Polska nieporadnością swą i grzeszną obojętnością dla sprawy ruskiej-unickiej, wynikającą z niezrozumienia jej wagi dla kraju i dla Kościoła powszechnego, przegotowała grunt Rosji” — na którym ta ostatnia zniszczywszy unję, zaszczepiła wyznawstwo caratu *).

Czy rząd polski mniema, że hodując tak starannie błąd rosyjski w duszach ludu sobie poddanego, ustrzeże się od zgubnych skutków, które kultura jakiegobądź błędu za sobą pociąga? Póki nienawiść bolszewicka do wszelkiej religji czyni z Polski miejsce ucieczki spokojny i wygodny przytułek dla prawosławia — póty skryta w niem działalność antypolska i antykatolicka znajduje się w stanie spoczynku. — Lecz gdy błysnie na Wschodzie chorągiew cara i odżyje w masach rosyjskich religijność „polskie” prawosławie okaże swoją państwową nicość. — Masy ludowe krajów wschodnich, nieobronione Unją, a katolicyzmem łacińskim też nieobjęte, przechylą się na nowo ku metropolji Tichona i jego następców, ku Moskwie i jej duchowemu prymatowi. Masy te są naogół ciemne, a do obrządku swego mocno od wieków przywiązane.

Gdy więc Polska dla polityki rozróżnić nie chciała między wiarą, a obrządkiem, zostawiając im wiarę Rosji, i one nie rozróżnią — bo rozróżnić nie są zdolne — między wiarą, a obrządkiem i w umysłach prostych, a pierwotnych biorąc je za jedno, tam się zwrócą, gdzie je pociągnie wielowiekowe przywiązanie do formy i kler prawosławny — Wschodowi oddany.

Wtedy klekona sztucznie autokefalia w Warszawie — rozpadnie się sama przez się, albo straci wszelką kierowniczą siłę. Jeśliby nawet Rosja nowożytna nie postarała się wznowić swojej historycznej „opieki nad dysydentami” (co wydaje się owszem, nieuniknione), pozostanie rozdwojenie religijne *wbrew czynom dziejowym i uczuciom tego samego ludu*, rozdwojenie, które w masach nierozwiniętych państwowo, zawsze rozrywa polityczną jedność społeczeństwa i państwa. I wrócimy, z pewnymi zmianami, do oplakanego religijnego i moralnego położenia ludu, jakie było w krajach wschodnich przed Unją Brzeską

*) Z początku, w utrzymywaniu organizacyjnych rządów litewskich, potem — w poświęceniu się.

*) Dzieje Kościoła unickiego. Część I, str. 277.

16-go wieku. Żda się — rząd polski powtarza błędy minione, żeby na nowo doznać ich skutków.

Aby należycie wzmódz jedyną siłę, mogącą z tym stanem rzeczy stanąć do moralnej walki, siłę atrakcyjną kościoła łacińskiego, ułatwiając mu misję, sianie oświaty i odbudowanie dawnych potężnych ognisk, o tem w gabinetach rządzących — niepomyślano.

Na drugim szlaku działalności władz — w sprawie początkowych i średnich szkół narodowych „mniejszości“ swoich, gdy niepozwolono zakładać szkół w duchu bezwarunkowo życzliwym dla państwa*), i bez żadnego udziału interesowanych, obmyślono dla nich szkoły mieszane, do szkół tych nieprzygotowano ani nauczycieli, ani podręczników. Nauczyciel w takiej szkole niezaprzeczenie posiadać powinien język ludowy; o takich nigdzie nie słysząc. W kwestji książek niezbędne są wskazówki, jakimi te książki być mają; społeczeństwo nic nie wie, czy takie książki się przygotowują lub popierają. Rząd polski miał tutaj (i poniekąd ma) — wyborną sposobność żądania i poparcia, by nowe podręczniki w językach narodowych, drukowane były drukiem łacińskim.

Jest to droga odwrócenia ludu od czcionki rosyjskiej, a stąd od propagandy antypolskiej prasy sowieckiej, propagandy szkolnej i politycznej“ funkcjonującej o miedzę. Lud rusiński kształcący się we własnym języku, tam, gdzie szkół swoich zażąda, lecz w alfabecie cywilizacji wszechświatowej, (co już i Niemcy coraz powszechniej uznają porzucając druk gotycki) przechyliłby się raźniej ku Zachodowi, czerpiąc dalej już nie z Rosji i nie z Azji główny zasilek do swojej kultury. I wtedy surogaty szkół mieszanych powinny by się corychlej przekształcić we *własne* szkoły z językiem narodowym, pod zwierzchnim kierunkiem polskich władz oświecenia.

Czy Rząd polski z tej chwili tak ważnej, twórczej, przełomowej, skorzysta? Czy raz wreszcie nie nastąpi w sferach rządzących mądrość *przed szkodą*, w tylu kwestjach, żywotnych dla krain wschodnich państwa polskiego?

Na tem uwagi obecne przerwiemy.

Futurus
(z t. zw. Kresów).

*) Mało wiadomy jest np. fakt, że gdy wiosną 1922 r. po uprzednim odrzuceniu ośmiu kandydatów na dyrektora, podjął się stanąć na czele projektowanego biłoruskiego gimnazjum w Radoszkowiczach, znany i powszechnie szanowany ksiądz katolicki, Białorusin, doktor filozofji uniwersytetu Łowańskiego (przez kuratorjum na kierownika zatwierdzony), władze administracyjne, przedsiębiorcy zakładu (dzisiejszego senatora) aresztowały i wywoziły w Poznańskie. W domach zaś wyniętych przez Towarzystwo Szkoły Białoruskiej, długo trzymano baony celne i policję, zanim inicjator nie wydobył się na swobodę i nie przezwyciężył trudności. Lecz już; kierownik najpożyteźniejszy i niezastąpiony na czele zakładu nie stanął.

Odpowiedź Staremu Kapłanowi Diecezji Wileńskiej.

Krytyka *Protestu 400-stu „księży wileńskich“* umieszczona w numerze 32 „Przeglądu Katolickiego“, a następnie nieco zmieniona i pod tytułem: „Burza w szklance wody“ powtórzona w „Słowie“ № 245, wywołała replikę. Ukazała się ona w „Dzienniku Wileńskim“ № 256 pod tytułem: „Wrzątek napróżno rozlany“, z podpisem: *Stary kapłan diecezji wileńskiej*,

którego przez skrócenie nazywać będziemy: „St. K.“

Wystąpiłem z krytyką nie przez „amatorstwo“, ale istotnie w celu poruszenia sumienia kapłańskiego, jak się domyślił tego „St. K.“ Ton protestu, według mnie bardzo niewłaściwy, mógł rzucić na nich pozór słabej prawowierności kapłańskiej i pragnąłem to nieporozumienie usunąć, dając im sposobność zbitcia zarzutów i wykazania ich bezpodstawności. Kierując się jednak zasadą: „audiatur et altera pars“, starałem się błędy w proteście zawarte tłumaczyć jaknajpobłaźliwiej t. j. pośpiechem i brakiem rozwagi tak w zredagowaniu, jak i podpisywaniu onego. To moje przypuszczenie potwierdza sam St. K. wyjaśniając, że skorzystano z rekolekcyj, aby tyle podpisów zebrać. Czy mógł być czas na gruntowną i wszechstronną dyskusję każdego zdania, a nawet i wyrażenia projektowanego protestu, jak to czyni Sejm, poświęcający nieraz kilka dni na zredagowanie jednego artykułu ustawy? Czy można było pobłaźliwiej zakwalifikować potworne zestawienie polityki carskiej z polityką katolickich biskupów, jak nazwawszy je tylko bańką czyli efektywnym frazesem, a zasada nienaruszalności granic diecezji czemże jest jeżeli nie naiwnością i ignorancją historii? Tymczasem St. K. wszystkie epilaty przemennie użyte, nawet tak niewinne jak: „błahy“ i „nieobmyślany“ poczytuje za obrazę sobie wyrządzoną, nie próbując zarzutów zbijać czy wyjaśniać. Natomiast zasypuje mnie wyrzutami ze swej strony, a mianowicie:

I-sze, że głos zabieram w sprawie sobie nieznaney, II-gie że nie czekałem listu Kardynała Prymasa do J. E. biskupa Michalkiewicza, III-cie że wtrącam się do spraw obcej diecezji, IV-te że sam jeden widzę zło wówczas, kiedy kapituła i całe duchowieństwo wypowiedziały się w tym samym sensie, co i protest, a biskupi nie zgromili ich za to.

Co do pierwszego: zabrałem głos *wyłącznie* w sprawie protestu drukowanego w dzienniku, więc tę sprawę poznałem dobrze, poddając krytyce jego ton i motywy. Kwestji zaś konkretnej: czy dwa dekanaty powinny być oddzielone, czy nie, wcale nie poruszałem, właśnie dlatego, że ani rozmów kapituły i proboszczów wileńskich z biskupem, ani rozpraw Zjazdu Częstochowskiego nie byłem świadkiem, a chociaż mieszkam pod jednym dachem z Biskupem Mińskim, wiem, że związany jest milczeniem, więc nie próbuję nawet go wypytywać o to, co się na zjazdach odbywa.

Skądże miałbym stawiać pytanie: „kto napiera na diecezję wileńską, komu zależy na tem, ażeby ją uszczuplić“, i „czy dalsi mieszkańcy Rzeczypospolitej z poza Wisły lepiej się znają na bolączkach i ranach owczarni wileńskiej, czy jej pasterze i duchowieństwo?“ Aluzja tu widoczna do zabiegów stronnictwa N. D., co ogłasza apodyktycznie № 19 z 9 listopada „Przeglądu Wileńskiego“, o czem pierwszy raz słyszę i o czem w proteście niema wzmianki. Ja jednak w kompetencji artykułów dziennikarskich, w dodatku bezimiennych nie wierzę i na nich sądu nie zwykłem opierać.

Co do drugiego: choćbym nie był w „gorącym kapany“, niemiałbym racji czekać listu Ks. Prymasa, bo takowego nikt mi nie zapowiadał. Chcąc jednak sprawę protestu zbadać, zainteresowałem biskupa Sufragana, który mi odpowiedział, że protestu nie czytał, bo był w Karlsbadzie, ale był przeciwny jego

ogłoszeniu, chociaż w Częstochowie głosował przeciw uszczupleniu diecezji. Więc w tym względzie list Prymasa niczego nowego mię nie nauczył.

Co do trzeciego uważam za niewłaściwe wtrącać się w sprawę wewnętrznego zarządu diecezji, ale skoro kwestja dostaje się na łamy dziennikarstwa, staje się sprawą publiczną i każdy ma prawo w niej głos zabierać.

Czyja wina, że tak się stało z *protestem*? Jego autorów, czy redakcji pisma?

Mnie się zdaje, że wina jest obustronna, kwestję ostatecznie rozwiązać by mogło tylko wyjaśnienie: jakim sposobem rękopis dostał się, do redakcji? Mogą tu zachodzić trzy wypadki: albo był wykradzony, albo samowolnie przez jednego z autorów przesłany, lub też przez niedbalstwo układających go, gdzieś się zawieruszył; w każdym razie trudno autorów protestu całkowicie od zarzutu *niedbalstwa i lekkomyślności* uwolnić, chociaż „St. K.“ te słowa za zniewagę poczytywać będzie. Wina redakcji jest daleko wyraźniejsza. Wątpię aby 400-tu księży kładło swoje podpisy na kilku egzemplarzach oprócz tych, którzy przedstawili J. E. Nuncjuszowi i Komitetowi Biskupów; byłaby to zbyt uciążliwa i zbyt cenna praca; prawdopodobnie więc egzemplarz, który się dostał do redakcji, albo nie miał podpisów, albo co na jedno wychodzi nie były one własnoręczne. Redakcja poważnego i uczciwego pisma przedewszystkiem zażądałaby pełnomocnictwa od autorów protestu, który jest ich wspólną własnością: Drukowanie więc na żądanie jednostki, w dodatku bezimiennie występującej jest czemś podobnem do kupowania rzeczy kradzionych, a to przecie proceder nieszlachetny.

Ten, co nie ma odwagi wystąpić do walki z otwartą przyłbicą, wzbudza podejrzenie, że jest albo człowiekiem złej lub słabej woli, a taki zaufania nie wzbudza. To też anonimy zwykle się do kosza rzucają (niech mi wybaczy St. K. jeśli to zdanie i do niego ktoś zastosować zechce).

Co do czwartego wreszcie słyszałem, że J. E. Biskup Wileński zgadzając się z protestem in merito, zganiał jego styl i formę, pod tym więc względem niema między nami rozbieżności poglądów i nie uważał za stosowne dać 400-tu księżom publicznie napomnienie, boć to nie była herezja, ale czy tego *in foro clericali* nie zrobił? nie wiadomo. Samo przesłanie protestu do nuncjatury, jeszcze aprobatą nazwać się nie może; każdy ksiądz bowiem, a tembardziej 400 tu księży, mają prawo bezpośrednich stosunków z Watykanem, ale najwłaściwsza doń droga idzie *przez* ordynariusza loci, który przesyłając pakiet zaklejony, może nawet nie znać jego treści.

Uważam, że szanownego mego oponenta mocno zirytował nagłówek: *memor sit conditionis suae*, dla uśmierzania więc jego rankoru i zmniejszenia choć trochę mojej winy śpieszę wyjaśnić, że tytuł ten położył na czele mojego artykułu ks. Profesor Uniwersytetu Warszawskiego, któremu rękopis posłałem do oceny, a uczynił to bez mojej wiedzy.

Nie miałem mu tego za złe, owszem zmianę tę chętnie zaaprobowalem, nie przypuszczając, że sprowadzi ona na mnie ciągi „Starego Kapłana“.

Daleki byłem od spodziewania się, ażeby kler *prastarej i wielkiej* diecezji wileńskiej zechciał iść za dyrektywą kapłana siedzącego na skrawku najmłodszej ze wszystkich.

Mam jednak przecucie, że polemika, jaką pro-

test wywołał, nie przejdzie bez pożytku, że młodszy kapłani nie będą tak skorzy do szafowania swemi podpisami, a jeśli się w akcji swojej zapędzą, znajdzie się nie jeden stary kapłan, który ich zapędy hamować się postara, nie czekając formalnego potępienia władzy wyższej.

W polemice mojej unikałem nie tylko wyrazów obraźliwych, ale nawet ironicznych żartów.

Stawiałem coprawda bardzo ciężkie zarzuty, ale stawiałem je spokojnie i poważnie.

Nie tak „Stary Kapłan“. Zamiast zarzuty zbijać poważnie, zebrał w jedną kupę powyrywane z różnych miejsc oddzielne wyrażenia, nazwiska, wzmianki historyczne, nawet porównanie (kreski na sercu nadkreślone) i zakonkludował, że jedno drugiego się nie trzyma.

Oczywiście przy takiej manipulacji sens zaginał, ale czy można nazwać to grą uczciwą? Już stary Voltaire powiedział: „*Donnez-moi quatre lignes d'un homme, et je le ferais pendre*“, coby na polski tak przetłumaczyć można: z kilku słów wyrwanych z kontekstu można wyprowadzić wniosek, że ten, co je napisał godzien szubienicy!

Wprawdzie tą razą szubienica mnie ominęła, lecz St. K. potraktował mnie jak łobuza, w gorącej kąpieli wodzie, a dowodzenie moje nazwał: „grymasami nowogródzkimi“. Ten niegrzeczny wybryk uradował mnie, jako dowód, że St. K. lepszych argumentów do walki ze mną nie znalazł. Grymasy nowogródzkie, przypomniały mi sąd jaki Kajetan Koźmian przed stu laty wydał o „Dziadach“ Mickiewicza, pisząc do Zygmunta Krasińskiego: „Co też to w tych *pińskich* głowach się dzieje?!“ — Mickiewicz miał wówczas przeciw sobie cały areopag warszawskich i wileńskich literatów, ale czas pokazał, że nie oni mieli słusność. Zgnębiony i skonfundowany reprimendą „Starego Kapłana“, pocieszam się w mej niedoli. — *si parva magnis comparare licet* — niejako analogję z losem Wieszcza Nowogródzkiego, bo i do *mojej głowy* epitet Koźmiana zastosować będzie można, — wkrótce bowiem przeniosę się do tego tak *spostponowanego Pińska*.

X. W. Czczcctt

Najstarszy z kapłanów Diecezji Mińskiej

P. S. Jeśliby Stary Kapłan chciał dalej prowadzić ze mną rozprawę, pozwalam sobie poprosić go, żeby zechciał walczyć równą bronią, t. j. z otwartą przyłbicą, jak na prawych rycerzy pióra przystało. Brzydzą się bowiem krecią robotą anonim i za stary jestem, aby grać w ciuciubabkę. Jeśli St. K. tego warunku nie przyjmie, (jak to zrobił Jan Obst, polemizując ze mną w przeszłym roku w Gazecie Warsz. pod maską X. Y. Z.), złożę broń i ustąpię mu plac walki.

(Odpowiedź niniejsza ukazuje się w druku ze znacznym opóźnieniem, nie z winy autora wszakże, lecz wyłącznym redakcji „Słowa“, która przyrzekłszy wydrukować artykuł, trzymała go przez czas dłuższy w tece redakcyjnej, w końcu zaś zwróciła autorowi, obawiając się widocznie zamieszczaniem jego narazić się „Staremu Kapłanowi“. *Przyp. Red.*)